

ROZMOWA Z KRYSYNA JANDĄ, W ĆWIERĆWIECZE JEJ PRACY SCENICZNEJ

# OD ANIOŁA I OD DIABŁA

**W:** W ukształtowaniu pani wizerunku jako aktorki dużą rolę, jak myślę, odgrywa temperament. Rodzaj drapieżności, który jako pierwszy wydobyl z pani Andrzej Wajda i uczynił atutem w „Człowieku z marmuru”. Jest pani utożsamiana z postacią Agnieszki do tego stopnia, że trudno ją było przebić nawet tak wyrazistej osobowości jak Antonina Dyzewska z „Przesłuchania” Ryszarda Bugajskiego.

**KRYSYNA JANDA:** To było już po dziesięciu latach pracy, po wielu rolach teatralnych i telewizyjnych. Choć to prawda – od roli Tosi zaczęłam być inną aktorką. Stałam się – w zawodzie – pełnym człowiekiem. Wcześniej byłam aktorką poszukującą formy. Po roli w „Przesłuchaniu” zrozumiałam, że najważniejszy jest człowiek i uroda, jaką w sobie niesie. To podstawa. Tylko nad tym chcę pracować. Opowieści, w których nie ma ludzi, czy jak się dawniej mówiło humanitetu, nie interesują mnie zupełnie. Podobnie, jak poszukiwania formalne.

**Jak to? Przeczą temu reżyserowane przez panią wizyjne przedstawienia Teatru Telewizji: „Klub kawalerów”, „Związek otwarty”, „Zazdrość”.**

W przypadku telewizji chodzi głównie o jej nieprawdopodobne możliwości techniczne: cyfrę, komputer i wszystko, co niesie ze sobą to oszałamiające medium. Posługiwanie się techniką telewizyjną jest jak komponowanie obrazu, a ja mam za sobą liceum plastyczne. Dużo w życiu malowałam i rzeźbiłam. Nagle znalazłam sposób na uzewnętrznienie mojej plastycznej wyobraźni, gustów estetycznych i pomysłów formalnych.

**Pani mąż, operator Edward Klośński rzeźbił te przedstawienia światłem. Jeśli doliczymy udział córki, Marii Seweryn, sprawia to, że pani przedstawienia stają się często przedsięwzięciami rodzinnymi.**

Obsadziłam Marysię w „Zazdrości”, bo zdecydowanie kojarzyła mi się z tą postacią joginki ćwiczącej mantry. Ma w sobie coś takiego; była tu idealna. W sprawie operatorów proszę nie zapominać o Dariuszu Kucu, bo pracuję z obydwojema na zmianę. Dodając kategorię zapewnienia męża, po naszym ostatnim, czekającym na emisję przedstawieniu Teatru Telewizji „Porozmawiajmy o życiu i śmierci”, że „więcej na pewno ze mną pracować nie będzie”, został mi już tylko Darek Kuc.

**Mąż odmówił współpracy? Dlaczego?**

Dlatego, że nikt go jeszcze tak nie trak-

czas pierwszych pokazów musiałam dokonać ewolucji roli, by zapełnić trzystuosobową salę. Słowami granej przeze mnie dziewczynki opowiadałam o śmierci, chorobie, nieszczęściu i umieraniu. Dobrałam takie cechy charakteru, które natychmiast jedna jej sympatię widza. Na szczęście przez pewien czas obcowiałam z moją wnuczką, od której zapożyczyłam pewne reakcje, przyzwyczajenia i śmiech. Włożyłam je do roli, która dzięki temu wrzeszcza, bawi, cieszy. Mu-

dynek z nimi i z tradycją literacką. Z kolei Andrzej Łapicki powierzył mi główną rolę w „Portrecie Doriana Graya” wg Wilde’a, bo John Osborne, który zrobił z powieści utwór sceniczny, zaznaczył, że rolę Dorianą powinna grać kobieta. Dziewczyno-chłopiec. Ta rola to był cytat ze mnie. Taką dostrzegł mnie reżyser w ówczesnej studentce szkoły teatralnej. Pomyślał, że mogę zagrać Dorianą Graya, bo jestem bardziej nawet chłopcem niż kobietą. A potem, już spokoj-

jeszcze niepojęte, np. dlaczego jako Arkadina siadała synowi na kolana, dlaczego rozpaczliwie walczyła o ostatni pocałunek, śmiech, lekkość, młodość. Dziś rozumiem wszystkie jej dylematy, z głównym – poczuciem, że czas zbyt szybko mija. Arkadina w interpretacji Śląskiej kierowała panika, albo i histeria, że się starzeje. Kiedy Zbigniew Brzoza zaproponował mi tę rolę, najpierw się przestraszyłam, a potem zapoznałam z charakterystykami największych Arkadin w historii teatru. Można ją zagrać na wiele sposobów, to oczywiste. Ale dziś wiem, że mnie najbardziej interesuje w tej roli nie wiek, nie aktorstwo, nie przemijanie, a relacja z synem. To mnie pociąga, boli, zajmuje.

**W ukształtowaniu postaci z pewnością pomogło pani doświadczenie zebrane wcześniej w rolach wielkich bohaterek: Medei, Fedry, Marii Callas. I co jeszcze?**

Cała moja złośliwość w stosunku do kobiet i aktorek. Mam nadzieję, że moja Arkadina będzie zjadliwa. Podobno Irena Eichlerówna grała ją bosko. Szła dokładnie tą drogą, nie zostawiając suchej nitki ani na kobiecie, ani na aktorce. Myślę, że mam wystarczające poczucie humoru i sporą dozę autoironii, by pozwolić sobie na złośliwość w stosunku do mojego środowiska, samej siebie i układow damsko-męskich. Rozmawiałam z osobami, które widziały, jak grała Eichlerówna, a także z aktorkami biorącymi wtedy udział w próbach. Potwierdziły, że w tej roli nie można przesadzić, bo się nie da. Można zrobić wszystko. Gdy Eichlerówna krzychała: „Nadziejo Rosji, ja nie kłamie. Popatrz mi w oczy... czy tak wygląda kłamstwo”, Warszawa zatrzymywała się w locie. No, ale to była Eichlerówna.

**Nie boli się pani przyznać do złośliwości w stosunku do kobiet i aktorek?**

Nie, bo je zbyt dobrze znam. I kocham nad życie.

**Czy wobec kogoś kochanego trzeba być złośliwym?**

Koniecznym, jeżeli chcemy, żeby to było zabawne w portretowaniu. Coś, co kocham, może mnie jednocześnie śmieszyć. Często śmieję się sama z siebie. Potrafię się zdenerwować, a następnie pół dnia śmiać się z formy, jaką to zdenerwowanie przybrało. Po tylu latach grania sama powoli staję się dziwolągiem.





tował. Jestem gorsza niż wszyscy reżyserzy razem wzięci. Jestem potworem, tyranem – nie noszę sprzeciwu i wszystko wiem lepiej. Jestem obrzydliwym babiskiem, które nie znosi współpracy, tylko wydaje rozkazy itd. No tak, ale ekipa, która z nami pracowała, słyszała, jak kiedyś na jego oświadczenie, że jest koniec ekspozycji i nic się więcej nie da nakręcić, krzyczałam: „Kręć! Jak chcesz, to kręć!”. Przecież ja jestem miłą, słodką, małą bezradną myszką i najładniejszą kobietą świata. (śmiech)

**Pani córka jako aktorka zaczyna już mówić własnym głosem. Tak się złożyło, że po naszej rozmowie wybrałam się do Starej Prochowni, by ją obejrzieć w przedstawieniu „norway.today”.**

No, tak... Słyszę od ludzi, jak im się podoba, że moja córka jest taka offowa. Dostaję wtedy ataku śmiechu, bo to mój główny problem z Marysą. Powtarzam jej, by przestała być taka offowa i lepiej nauczyła się rzemiosła.

**Jeśli córka offowa, to matka jaka? Komercyjna?**

Owszem, quasi-komercyjna, bo zależy mi na tym, żeby się porozumieć z widzami, ale i spodobać. Jeżeli to można nazwać komercją, to tak, jestem komercyjna. Co nie oznacza, oczywiście, że pójdę na wszystko. Kompromis nie może iść zbyt daleko – jest granica przyzwoitości. Nieskromnie uważam, że cokolwiek robiłam w jakiegokolwiek bądź literaturze, to efekt nigdy nie schodził poniżej pewnego poziomu. Sądzę zresztą, że nawet w najgorszym, najgłupszym sitcomie można zagrać nadzwyczajnie, pytanie tylko, po co? Ale wracając do tematu – nie ma nic nagannego w potrzebie podobania się, bycia rozumianą i akceptowaną. W umiejętności nawiazania dialogu z widzami. I to na każdym poziomie, bo mnie porozumienie wyłącznie z elitami nigdy nie interesowało. W przeciwieństwie do wielu ludzi uważam, że teatr wcale nie jest sztuką elitarną. I nie powinien być. Może nie jest sztuką masową, ale popularną. To jest wręcz jego obowiązkiem – nie całego, ale tego zwykłego, realistycznego, mieszczańskiego, potrzebnego. Dzisiejsze czasy, które zmusiły teatry, by się lepiej pochylały nad widzami, w jakimś sensie temu teatrowi służą.

**Łatwo to powiedzieć aktorce, na której spektaklach są zazwyczaj nadkomplety.**

Wie pan, gdy gramy „Noc Helvera”, to niekoniecznie. Zbyt ambitnie założyłam też wykonanie monodramu „Mała Steinberg”. Mimo że problem jest wstrząsający, a tekst nadzwyczaj wzruszający, pod-

ziałam dokonać sporej pracy, by dla tak trudnego tematu zważyć i zatrzymać widzów, którzy potem chcieliby opowiadać na mieście, że był to energetyczny i ważny wieczór.

**Obchodzi pani właśnie 25 lat pracy artystycznej rolą doświadczoną aktorki – Ireny Arkadiny w „Mewie” Czechowa. Premiera odbędzie się 5 stycznia w warszawskim Teatrze Studio. Grała pani heroiny, prymadonny, gwiazdy scen i ekranów. Z jakimi uczuciami przyjęła pani tę rolę?**

Przed wszystkim z wielką radością. 25 lat temu grałam Ninę, teraz czas na Arkadinę. U Czechowa ma ona 42 lata; ja jestem starsza. Problem wieku jest wpisany w tę rolę. Wydaje mi się, że jeśli aktorka jest dużo starsza – a widziałam Arkadiny sześćdziesięcio-, a nawet siedemdziesięcioletnie – to już jej grać nie powinna. Bohaterka Czechowa robi sobie bowiem wciąż nadzieje na zrywanie kwiatów z łaki życia, na kobiecość i miłość. To więc ostatni moment, w którym mogę ją zagrać, podobnie jak Raniowską w „Wiśniowym sadzie”. (śmiech) Jest coś dziwnego z tymi dwiema rolami wszędzie w świecie, że chwytają je naprawdę stare babska. No, ale wszystko się zmieniło. Za chwilę będziemy rodzic po sześćdziesiątce. Biedne dzieci!

**W przedstawieniu w reżyserii Janusza Warmińskiego w warszawskim Teatrze Ateneum pani uosabiała postać kandydatki na aktorkę, Niny Zariecznej.**

I to był właściwie mój debiut. Wprawdzie wcześniej grałam Anielę w „Ślubach panińskich” Fredy z Aleksandrą Śląską, Janem Świdorskim oraz z obecnymi już ponad dziesięć lat na scenie Grażyną Barszczewską, Tadeuszem Borowskim i moim ówczesnym mężem Andrzejem Sewerynem, ale traktowałam to raczej jako wypadek przy pracy. Miałam ciągle styczność z wierszem Fredy. Wszyscy na mnie tupali, że Anieli jest od anioła, a nie od diabła. Był to mój osobisty poje-

**Krystyna Janda** debiutowała na trzecim roku studiów aktorskich w warszawskiej szkole teatralnej w „Trzech siostrach” Czechowa w reżyserii Aleksandra Bardiniego. Od 1976 r. do 1986 r. była aktorką stołecznego Ateneum.

Od 1987 r. jest w zespole Teatru Powszechnego w Warszawie. Niezwykłą popularność przyniosła jej pierwsza rola filmowa – młodej reporterki Agnieszki w „Człowieku z marmuru” Andrzeja Wajdy. Grała w wielu jego filmach, jak i u innych znanych reżyserów: Żuławskiego, Szabó, Żebrowskiego, Szulkina, Boisseta, Bugajskiego, Keglovica, Piwowarskiego, Laurenta, Krzystka, Kieślowskiego, Zanussiego. Sama też reżyseruje – filmy („Pestka”), przedstawienia teatralne i Teatru TV (m.in. „Klub kawalerów”).

niejsza, bardziej świadoma i pokorniejsza, weszłam w próby „Mewy”. Dramatu zajmującego się losem artysty, mówiącego o stylach, moralności, sposobach traktowania sztuki.

**Co więcej, Nina Zarieczna reprezentuje w niej nowy, awangardowy nurt.**

Czechow, naśmiewając się z owej „nowej formy w sztuce”, w monolog postaci granej przez Ninę wpisał bełkot, który bez skrótów obejść się nie może, choćby aktorka była nie wiem jak zdolna, a reżyser – pomysłowy. Zagrożenie, samotność, rozpacz, katastroficzne spojrzenie na świat, który nadchodzi... i dwie bite strony rozpaczliwej nudy. Zastanawiam się, jak fascynująco musi to brzmieć po rosyjsku, ale w polskim przekładzie jest, niestety, okropne. Dodam na marginesie, że reguła, w myśl której młodzi chcą popełnić samobójstwo, a starzy wolą żyć i bawić się, powtarza się permanentnie. Tak więc stanęłam wobec prawdziwego aktorskiego wyzwania. Uznałam, że wygram, jeżeli postawię na naiwność, młodość, spontaniczność i serce. Byłam początkującą aktorką, w której „szalał ocean”, ale jeszcze nie posiadałam środków wyrazu, którymi mogłabym dać mu ujście. Dlatego zderzenie odczułam boleśnie. Każde moje wejście na scenę było na próbach absolutną katastrofą. Moje propozycje były przyjmowane albo wybuchem protestu, albo wymownym milczeniem. Cierpiałam. W rezultacie powstało przedstawienie ugłaskane, ułożone, zachowawcze. Nie lubiłam grać tej głupiej Niny, jak o niej wtedy myślałam. Wszystko to w rezultacie wyszło mi na korzyść. Wiele się nauczyłam, choć było to bolesne.

**Czy tamto przedstawienie mogło pani służyć za drogowskaz przy obecnej wersji?**

Zapadło w moją psychikę na tyle, że cokolwiek teraz robiłam na scenie w roli Arkadiny, miałam przed oczami Śląską. I nagle, dzień po dniu, zaczęło mi się wyjaśniać to, co wówczas było dla mnie

**Na szczęście stosuje pani terapię. W pani przypadku odpoczynkiem od aktorstwa jest felietonistyka i, coraz częściej, reżyseria. Skąd się wzięła? Z niedostatku ról?**

Nie, dlaczego? Reżyseria to naturalny sposób, gdy ktoś chce ogarnąć całość i podpisać się pod tą wizją. Są ludzie, którym wystarczy być elementem wydarzenia. Ja zawsze chciałam poznać wszystkie składniki przedsięwzięcia, w którym biorę udział. Nigdy nie wyczekiwałam wezwania na plan leżąc na kanapie w garderobie, z dala od akcji. Jeśli nie grałam, stawałam przy kamerze, bo interesowało mnie, jak się rodzi to, w czym biorę udział. Ale to sprawa ciekawości świata i temperamentu. Przez tyle lat pracy uczestniczyłam w rozwiązywaniu krzyżówek na planie i scenie, aż pewnego dnia poczułam, że chcę powiedzieć coś od siebie.

**Szeroką publiczność pozyskuje pani także występami estradowymi. Zaczęło się od słynnej „Gumy do żucia” Grechuty w Opolu, by dojść do pełnych recitali. Co pani daje ten rodzaj kontaktu z widzami?**

Bardzo dużo. Możliwość spędzenia niekonwencjonalnego wieczoru, w którym zwracam się do ludzi prywatnie, jako Krystyna Janda. Zapowiadam, że nie będę niczego udawać, wchodzić w rolę postaci, które śpiewały te piosenki, tylko będę się starała, żebyśmy wspólnie spędzili miły wieczór. I rzeczywiście, udaje się utrzymać taką niezobowiązującą formę tych spotkań. Każdy wieczór mogę zagospodarować, jak chcę – w zależności od nastroju chwili i oczekiwania widzów. Piosenki pozostają nienaruszone, ale to, co dzieje się dookoła nich, jest improwizacją. Staram się, by wszyscy bawili się wraz ze mną.

**Na pani koncert składają się piosenki z trzech przedstawień teatralnych: „Białej bluzki” Osieckiej, „Kobiety zawiedzionej” de Beauvoir i „Marleny” Gems.**

Gdybym ich nie śpiewała, to tłumaczek Jeremiego Przybory i Wojtki Młynarskiego z „Kobiety zawiedzionej” nie usłyszałby pewnie nikt więcej. Tłumaczenia piosenek „Cyganeria”, „Pada śnieg” czy „Jest fantastycznie”, są arcydziełami, które zostały zrobione do jednego spektaklu. Kiedy zszedł z afisza, zrozumiałam, że przepadną. Nagrałam koncert w radio, by je utrwalić, zatrzymać. Postarałam się, aby pozostały także w druku, w materiale dołączonym do płyty. Potem wyjechałam w Polskę z tymi koncertami – niedawno dałam setny. A śpiewam, bo lubię. Dopóki ludzie chcą mnie słuchać.

**Rozmawiał Janusz R. Kowalczyk**